



Maria Skorupińska

część III z III

Sygnatura notacji: **N1281**
Data urodzenia: **15.11.1930 r.**
Data nagrania: **28.06.2018 r.**
Miejsce nagrania: **dom świadka, Milanówek, Polska**
Prowadząca/y rozmowę: **Tomasz Sikorski**
Czas nagrania: **część I: 48 min, część II: 48 min, część III: 45 min**
Format nagrania: **video**
Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Maria Danuta Skorupińska: Na terenie getta mieścił się tartak, który był przed wojną własnością znajomych moich dziadków i rodziców. Prowadzili go państwo Stolińscy i on został z wojskiem wzięty później do... nie wiem, czy do niewoli, ale w każdym razie dostał się do Anglii, a ona pracowała w tym tartaku na terenie getta. Niemcy ją zostawili jako osobę kompetentną w tej sprawie i ona musiała tam zatrudniać Żydów. To ułatwiło trochę mojemu wujkowi i mamie możliwość wchodzenia do getta, bo ona wystawiała przepustki dla nich i oni mogli wtedy wejść jakoś tak bardziej legalnie. No, gorzej już było z tym wyprowadzaniem, bo wyprowadzanie już było nielegalne bez przepustki, więc to już było na łut szczęścia, można powiedzieć. Tak że mogli tam zanosić odzież, mogli zanosić żywność. Z trudem zdobywaną po prostu, ale wszystko jedno. Dzielili się. Tyle, ile tylko zdołali to zrealizować. I to działało do końca getta. To działało tak. I sprowadzali różnych ludzi. I tych ludzi potem trzeba było jakoś gdzieś umieszczać. Oni najpierw przez chwilę zatrzymywali się u nas. Tam, nie wiem, dzień, noc, dwa, rozmaicie. Jak się im znalazło jakiegokolwiek schronienie, co wymagało zaangażowania całej grupy ludzi. Całej siatki takiej konspiracyjnej, bo samemu się by nie dało rady tego zrobić i musieli to być ludzie zaufani, którzy wiadomo było, że nie zdradzą, nie powiedzą nic. Też wiadomo było, że... Nam było wiadomo, że jeżeli ktoś się zdarzył taki, właśnie donosiciel, to Armia Krajowa, która miała wszystkie swoje urzędy w podziemiu, likwidowała takiego donosiciela, przeważnie w ciągu dnia. Żeby ludzie wiedzieli za co. Nie, że tajnie ginął, tylko po prostu jawnie ginął. Żeby wiedzieli ludzie za co, że on ginie za to, co zrobił. Tak że to były takie właśnie... z odczytaniem wyroku śmierci. To nie było tak z powietrza. Był wyrok śmierci. Mam teraz w ręku ikonę Matki Boskiej Częstochowskiej. To była własność moich dziadków, którą ofiarowała babcia w 1917 roku najstarszemu synowi Hipolitowi, komendantowi harcerstwa. Potem, jak już musieli opuszczać te swoje strony, to to była jedyna rzecz, którą zdołali zabrać, wyjąwszy ją z ram. I to był ten wizerunek,

który potem otrzymywała najstarsza osoba w rodzinie kolejno. I teraz on jest moją własnością, a był najpierw własnością najstarszego syna mojego dziadka Hipolita. Ona im towarzyszyła przez całe życie, wszystkim. I była naprawdę cenną pamiątką. Ona jest podpisana przez moją babcię jako pamiątka z czasów pracy harcerskiej w Żmerynce i jest podany rok 1917. Moja mama dopisała tutaj: „Matka Boska ofiarowana najstarszemu synowi Hipolitowi przez matkę, chroniła nas przed bolszewizmem. Hipolit był komendantem w harcerstwie w 1917 roku jako młody chłopak”. I tutaj pokażę ten wpis. Ta Matka Boska została uratowana z ich posiadłości, z Żmerynki koło Winnicy i przechowywana była przez wszystkie te lata przez moją rodzinę. Ona, jak tutaj pisała moja mama, chroniła nas wszystkich przed bolszewizmem. Uchroniła. Moją rodzinę uchroniła przed bolszewizmem wewnętrznym, rzecz jasna, bo zewnętrznym niestety nie. Gdyby pani była uprzejma króciutko opowiedzieć swoją historię po zakończeniu wojny. To znaczy, jak się układał pani los, jakąś szkołę pani skończyła, czym się pani zajmowała zawodowo. Po skończeniu wojny, jak już wspomniałam, znaleźliśmy się w tej puszczy, znaczy jeszcze przed końcem w Puszczy Mariańskiej. Potem przejechaliśmy do Milanówka w czterdziestym piątym roku, w marcu. Ponieważ nasz dom był spalony, nie mieliśmy jak wracać do niego, innych pomieszczeń w domu sąsiednim, który tam częściowo ocalał, nie mogliśmy zająć, bo myśleliśmy, że ktoś wróci jeszcze z tych osób, które tam mieszkały. I nasza znajoma, pani Mierzejewska, matka Włodzimierza pianisty i Danuty śpiewaczki, do której przyjeżdżaliśmy do Milanówka w czasie wojny na niedzielę. To ofiarowała nam mieszkanie, w swojej własności. Ona miała taki dom, oficynę niedużą. I tam były takie dwa nieduże pokoje i kuchnia, bez kanalizacji, bo to na lotnisko budowane. To tutaj się nie opłacało, chyba że ktoś duży pensjonat budował, to wtedy miał już tę kanalizację przydomową. Natomiast inne takie małe budowle to nie miały. I ona nam to ofiarowała. I zamieszkaliśmy tu. Mój ojciec na początek dostawał zamiast pensji bochenek chleba na dzień dla całej rodziny. Mama nie pracowała, bo nie miała gdzie. W Milanówku to nie było żadnych zakładów ani niczego. To była miejscowość lotniskowa. Myśmy chodziły do szkoły. Ja poszłam do trzeciej gimnazjalnej. Tam był wtedy taki system: cztery klasy gimnazjum, mała matura i dwie klasy liceum profilowanego, a siostra o te trzy lata mniej, więc ona do pierwszej, do siódmej. I skończyłam tutaj tę szkołę. Miałam bardzo dobrych nauczycieli, za których się modlę do dzisiaj, ponieważ oni byli przedwojennymi nauczycielami. Oni nie tylko nas uczyli dobrze, ale oni nas też wychowywali. Ponieważ tutaj był taki zlepek młodzieży trochę. Bo to jest miejscowość, w której znalazły się wszystkie szpitale po Powstaniu. Wszystkie warszawskie. Część lekarzy tutaj pracowała i została, a część, potem jak się te szpitale zaczęły odbudowywać, to ona po prostu już wracała do Warszawy. Jeden z lekarzy tu został, bo on był sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem. To był taki niezależny człowiek. Też akowiec, pseudonim Topór. Sama nazwa wskazuje silnego charakteru, wielkiej wiedzy. Nieprawdopodobnej wiedzy. Skończyłam tutaj szkołę, maturę. Miałam wtedy siedemnaście i pół roku. I chciałam zdać na medycynę moją ukochaną, bo przecież miałam już za sobą nawet praktyki. W związku z tym złożyłam podanie, przesłałam kurs przygotowawczy taki, no i przystąpiłam do egzaminu. Pisemny miałam na piątki, a ustny to prawie nie byłam pytana. Na teście grubymi, drukowanymi literami napisane było „Najmłodsza” i w kącie „AK”, bo oni wiedzieli. Ja tego nie pisałam w żadnych ankietach, bo normalnie się tylko pisało, ile się ma lat i co się skończyło. Tak że nie dostałam się na medycynę. No to trudno, pomyślałam. Nie może być paury żadnej, bo nie stać nas na to, bo nie możemy pauzować, tak w powietrzu wisząc po prostu. Więc miałam pójść do szkoły pielęgniarskiej, ale brakowało mi jeszcze pół roku. Musiałam poczekać pół roku. Nie miałam osiemnastu lat. Przyjmowali wtedy od osiemnastu do trzydziestu pięciu. Brakowało pielęgniarek, wiadomo. No i skończyłam Szkołę Pielęgniarską numer 2 w Warszawie, ulica Wilcza 9, która była prowadzona najpierw przez siostry Ukrytki, świętego Józefa, a miesiąc przed dyplomem została upaństwowiona. No i tak dla ciekawostki. Przełożona nasza

została wyrzucona. Ta nowa z Rosji, ledwo mówiąca, coś tam dukająca po polsku, to jak się przyszyła przedstawiać, to myślała, że jest w mundurze pielęgniarskim. Miała na sobie w lutym sukienkę letnią, pewnie gdzieś zrabowaną, bardzo ładną i czepek do tego na głowie pielęgniarski. No i była, w ciągu miesiąca chciała zorganizować taką jakąś szajkę donosicielską i żeby jedni drugich inwigilowali, to wiadomo, to sowiecki system. To już jest moment i to... Na szczęście już ta szkoła się kończyła dla mnie. 3 lutego 1951 dostałam dyplom. Z samych piątek. No i potem dostałam przydział. Nakaz pracy. Nakaz pracy był obowiązkowy na dwa lata. Pierwszy ten przydział był do Elbląga. I proszę sobie wyobrazić, że profesor Wesołowski, już wtedy profesor, ten urolog, o którym wspominałam, że był takim wspaniałym człowiekiem w ogóle, to on mnie wyreklamował. I dostałam przydział, wprawdzie chodziło mi o to, że ja miałam zaplanowany ślub na ten rok. Za dwa lata co prawda, ale zaplanowany. Mieszkałam tu, w Milanówku. Mój narzeczony był też z Milanówka. I nie chciałam jechać do Elbląga, bo wiadomo, co to jest. Na obczyźnie dalekiej. Jeszcze takie tereny, prawda? Obce właściwie. Wyreklamował mnie, ale dostałam przydział do Instytutu, wtedy się nazywał Radowy, nie Onkologii, na ulicę Wawelską 15. Ja jak bym chciała opowiedzieć, jakiego typu była tam praca, to by nie starczyło książki. Ale tylko powiem, że tak: z braku pielęgniarek miałyśmy dyżury na jedno piętro, na osiemdziesięciu chorych. Jedna pielęgniarka i jedna salowa. Noce były po dyżurze rannym albo popołudniowym. Ja brałam ten popołudniowy, bo przecież przyjeżdżałam, więc nie miałam jak się tam podziewać między rannym a nocnym. To brałam popołudnie i noc. I ta noc była na stu sześćdziesięciu chorych. I po jednej salowej na piętro. Na pierwszym piętrze, gdzie pracowałam, najpierw to była chirurgia, na drugim była interna, a na trzecim była ginekologia. No więc, na trzecim ja nie pracowałam, ale pracowałam właśnie na chirurgii, bo jakoś najbardziej chciałam na tej chirurgii pracować i to się udało. Zespół był wspaniały. Lekarze byli... Ja w życiu takiego zespołu już później nie miałam, jak tam w tym szpitalu. Najcięższa praca, jaką można sobie wyobrazić, bo niech się tylko jeden chory budził po południu z operacji. Lekarze w jednym szpitalu operowali do południa, a potem przychodzili i u nas operowali po południu do nocy. Jak byli obciążeni. Ja nie słyszałam słowa narzekania od nikogo. Nikt nie narzekał. Nikt nie narzekał, a ledwo żył. Zresztą oni byli bardzo ideowi. Bardzo empatyczni. To są nazwiska... Profesor Witold Rudowski, żona też jest dermatologiem, już chyba nie żyje, nie wiem, bo on już nie żyje. Profesor Tadeusz Koszarowski, który później, ponieważ wstąpił do partii, wszyscy byli bezpartyjni, ale on wstąpił do partii, to wywojował od Gierka ten Instytut na Ursynowie. Także profesor Gonta, profesor Wesołowski przychodził na operacje, jeżeli były związane urologicznie, profesor Adamowicz Bolesław i laryngolog, jeżeli trzeba było coś z laryngologią połączonego. To byli ludzie naprawdę wysokiej wiedzy, wysokiej klasy jako ludzie i wspaniali współpracownicy, którzy nie tworzyli jakiegoś muru między personelem, jak to teraz ma miejsce, między personelem wyższym a tak zwanym średnim czy niższym. Zawsze mówił żartami, zawsze się kłaniał pani salowej pierwszy, a zostawi skórkę od banana, ja mówię: „Gdzie te banany, panie profesorze? Nie ma bananów”. Mogę się poślizgnąć, upaść i nie wstać. Ale to był taki żart po prostu, ale oni byli tak wychowani. Tak byli wychowani, że szanowali każdego człowieka. Przez to byli sami bardzo szanowani. Dyrektorem był Franciszek Łukaszczyk. Człowiek, mocny taki mężczyzna, bardzo dobrze zbudowany, bardzo mocnego charakteru. Jedyne gramy radu, który ofiarowała nam Maria Skłodowska-Curie, nie Curie-Skłodowska, bo jak to przecież jej Uniwersytet jest Curie-Skłodowskiej i różne inne tam były ulice. Ten jeden gram radu ocalił dla nas, dla chorych ocalił profesor późniejszy Łukaszczyk, który wyniósł to na własnej piersi przez całą Polskę, aż do Krakowa. To nic, że on był w platynie, ten rad. On promieniował i tak. Tak dalece, że wszystkie te aparaty, które tam były pozakładane dla chorych na jakieś miejsca, które trzeba było leczyć, to te aparaty były też przechowywane w kasach, sejfach pancernych, wszystkich tych. Wszystko to było obudowane ołowiem, żeby nie promienio-

wało. I promieniowało. Najlepszy dowód, że myśmy mieli obowiązek wypić codziennie litr mleka, oni to dawali w tym Instytucie i po sześciu miesiącach pracy w gabinecie z radem, konieczność była wyjazdu w góry na odbudowę czerwonych krwinek, na dwa tygodnie co najmniej. I do tego się trzeba było stosować. Nie było odwołania od tego. Jeszcze tych mierników nie mieliśmy wtedy, nie było. Tak że nie wiem, jak zostałam napromieniowana, ale jakoś zostałam. Praca była strasznie ciężka, ponieważ chorzy byli terminalnie w zasadzie. Ponieważ ludzie mają zwyczaj zgłaszać się do lekarza w ostatnich stadiach. Zawsze się bali lekarzy. Bali się, że jak pójdą do szpitala, to umrą. Takie panowało... do dzisiaj, ja nawet wczoraj słyszałam od znajomej, że: „Ja nie będę się badać, bo ja nie chcę wiedzieć”. Jeżeli kobieta dorosła, wiekowa, która już coś przeżyła, widziała, wie, nie chce się badać, no jest to po prostu aberracja umysłowa dla mnie, naprawdę. Wracając jeszcze do tego szpitala, to jak mówię, trzeba było... nie było jednorazowych strzykawek. Wszystko trzeba było gotować. Penicylina była podawana co trzy godziny. Nie raz na dobę, doustnie. Więc po prostu takie były czasy. Nie było gotowych płynów do infuzji, do wstrzykiwania. Zabiegi były takie, no, można powiedzieć, trochę końskie, bo przecież wtedy taki był poziom tej medycyny. Wszystkie płyny trzeba było gotować w kolbach na gazie, na płytkach azbestowych. Wygotowywać sprzęt do transfuzji, do cewnikowania, strzykawki wszystkie. Bez przerwy to było. Strzykawki się dawało do remontu. Jak się szkło stłukło, a była to strzykawka firmy Record, tylko była z metalowymi oprawami, to się dawało do oszklenia ponownie. Igły były prostowane nawet. Taka była sytuacja powojenna. Mimo że Instytut miał troszkę lepiej ze względu na to, że przysyłano z Ameryki trochę waty, trochę leków, jakichś witamin dla tych pacjentów. Czy ktoś wtedy pomyślał, że może dla siebie coś wziąć z tego? Nikt. Więc oprócz normalnych zabiegów i pielęgnacji chorych, którzy się nie mogli poruszać, trzeba było umyć, nakarmić, wszystko przy nich zrobić. Paznokcie obciąć, no wiadomo, było to coś takiego. Słowo „pielęgniarka” to jest właśnie to. A oprócz tego trzeba było zrobić wszystkie zabiegi. Więc jak to się ma do tego, że nie było personelu? Ta jedna osoba, ona nie usiadła przez cały dyżur. Salowe nam usmażyły czasem jakieś placki i po drodze podawały. Tak że ja jako pracę bardzo ciężką to wspominam. Jako tak ciężką, że ja zostałam przez komisję lekarską wypisana z Instytutu, bo po nakazie pracy dyrektor chciał mnie zostawić na normalną umowę, na zawsze. Ja bym z całej duszy na to przystała, ale niestety nie mogłam. Już miałam problem z kręgosłupem wtedy. Ponieważ ja ważyłam czterdzieści pięć kilo. Takich osób nie powinno się przyjmować do pielęgniarstwa w ogóle. Pacjent mi się wieszał na szyi, a ja go musiałam sobą podciągnąć na poduszki. Nie było łóżek, które mają tę możliwość, prawda? Teraz są łóżka, które można podeprzeć, można jakoś inaczej pacjenta ułożyć, wtedy nie. Ale jak mówię, zespół był znakomity, no miałam bardzo nieprzyjemną przełożoną, ale tak miałam przez całe życie. Bardzo nieprzyjemny przełożony był. Przełożone uważały, że ja czyham na ich miejsce, a mnie to wcale nie satysfakcjonowało. Ja miałam być lekarzem, a nie przełożoną pielęgniarek sprawdzającą, czy kurz jest, czy salowa przyszła w czystym fartuchu. To mnie nie interesowało, absolutnie. Ja wolałam być przy pacjencie niż takie rzeczy wykonywać. Nigdy to..., ale zawsze byłam o to podejrzana. Przez osobę stojącą nieco wyżej. Ta sytuacja była dość groteskowa, można powiedzieć. Nie mogłam im wytłumaczyć. Potem, mimo że nie było książek o onkologii wtedy, tylko parę artykułów niektórych lekarzy, to wtedy postanowiono, że zrobią nam kurs pielęgniarski z onkologii. To by się bardzo przydało wtedy, bo dostarczono nam pielęgniarki po dwóch tygodniach kursu PCK i po trzech miesiącach takie inne. Po trzech miesiącach kursu. To po prostu była pomyłka w założeniu. Nie można się przez dwa tygodnie... Przez dwa tygodnie można się nauczyć wykonać zastrzyk, postawić bańki, to można. Natomiast nie można się nauczyć odróżniać leku, który one nie odróżniały soli fizjologicznej od soli chlorowanej i po prostu one rozpuszczały penicylinę nie solą fizjologiczną, tylko tę chlorowaną, po czym następowała martwica tkanki. Na następny zastrzyk z tego strasznego bólu pacjentka

wchodziła pod łóżko, żeby jej nie zastała. Takie rzeczy. One musiały później się uczyć, musiały się doszkalać, bo one już były przygotowane, że one będą w tym zawodzie pracować, ale one musiały jednak chodzić na różne kursy, żeby później zdawać egzamin państwowy. I to zawsze była... Na ogół zawsze, bo z małymi wyjątkami błędna decyzja. I cały czas jestem tego przekonana. Jak długo w tym miejscu pani pracowała? Dwa lata. Ale mówię, żałuję tej atmosfery szpitalnej. Tej konkretnej, bo potem jak już wyszłam za mąż, to musiałam pracować w przychodni, jak dziecko się urodziło jedno, po siedmiu latach drugi syn, więc musiałam pracować w przychodni, nie mogłam już pracować na zmiany. Na świętki, piątki, na takie rzeczy, musiałam mieć uregulowany tryb życia, żeby móc sobie poradzić z tymi dziećmi i z dojazdem. Najpierw to dojeżdżałam do szkoły pielęgniarskiej, w ogóle to dojeżdżałam bydlęcymi wagonami z Milanówka. Bydlęcymi, bez siedzeń. Śniegi były porządne mrozy były, trzydzieści stopni, dwadzieścia pięć. Śniegi były powyżej człowieka. Tunele się wyrąbywało w śniegu, żeby dojść. Niesamowite były te zimy, naprawdę. Takie były kiedyś. Teraz ludzie narzekają i zmarzli, bo jest plus pięć. Marzną, bo już nie przyzwyczajeni. W każdym razie później pracowałam w jakichś innych przychodniach, kolejnych. Przeszłam przez ośrodek medycyny pracy cztery lata. Potem już się umieściłam na... jeszcze wcześniej trochę na Chmielnej, w tej przychodni, Chmielna 12. Trafiłam na bardzo dobrych lekarzy zawsze. Ale to byli lekarze przedwojenni. Jak później trafiłam na lekarzy z awansu, z punktów, bo przecież po wojnie przyjmowano partyzantów, z Gwardii Ludowej to przyjmowano bez matur. Robiono im roczny kurs na medycynę, który miał zamykać im całe liceum. Ale oni mieli przewrócone w głowie już. I oni uważali, że pielęgniarka to jest dla nich państwowa służąca, to znaczy ich prywatna służąca za państwowe pieniądze. Bo mi potrafił powiedzieć, siedzi sobie młody chłopak, je jajko i mówi: „Pani Danusiu, tam stoi sól na oknie”. Kiedyś podałam raz, drugi, trzeci z uprzejmości, z grzeczności. Ale za czwartym razem to powiedziałam: „Stoi”. I wyszłam, bo co można zrobić? W takiej sytuacji? Pensje były żadne. Jak chciałam przeliczyć swoją emeryturę, po prostu wstyd, że taką miałam. Chciałam przeliczyć, to okazało się, że wszystkie papiery zgromadzone, bo ja wszystko mam, bo to są dokumenty. Te wszystkie przegrupowania, to wszystko, co to się działo, to jest wstyd dla państwa polskiego, że tak opłacał właśnie ten personel. Lekarze jakoś jeszcze mogli dorobić, a pielęgniarka, no owszem, mogła gdzieś pójść i zrobić zastrzyk komuś, ale to są sporadyczne rzeczy. Sześćdziesiąt osiem procent średniej krajowej zarabiałam przez najlepsze lata swojego życia. Średniej krajowej sześćdziesiąt osiem procent. Nie ma co mówić. Praca była zawsze ciężka. A ostatnie miejsce pracy zawodowej? Ostatnie miejsce pracy zawodowej to była Stołeczna Poradnia Dermatologiczna, Moniuszki 6. Przed wojną, przed Powstaniem, chodziłam Moniuszki 8, do drugiej gimnazjalnej. A potem trafiłam na Moniuszki 6, dwadzieścia trzy lata tam przepracowałam. Byłam tam cały czas na etacie pielęgniarki, ale tam było archiwum wszystkich chorych wenerycznie. I wszyscy byli zarchiwizowani, i wszyscy byli dopilnowani. Każdego pacjenta się miało w terminarzu, do wezwania, do badania, do krwi, do konsultacji. Po prostu jak przyjeżdżali z zagranicy, to mówili do nas po niemiecku, bo szef udawał, że umie po niemiecku, po angielsku. I mówił tak, słowo daję: „E to tu pracują dwie”. Druga koleżanka jeszcze była ze mną. I mówi do tych ludzi, co mówią po angielsku: „E to tu pracują dwie”. Albo że: „List idzie one week”. Ale po polsku było list idzie, one week to już wiadomo, tydzień. Więc sytuacja jest, po prostu... Mało myśmy się pod stół nie schowały ze wstydu. A oni mówili po niemiecku, niektórzy. So, wunderbar. Jak się dowiadawali, w jaki to sposób jest zrobione. Tak była opracowana dobrze przez przedwojennych lekarzy gruźlica i tak była opracowana dobrze przez tychże przedwojennych lekarzy choroby weneryczne. Tak było, proszę pana. Myśmy to opanowali, ale teraz nie możemy. To nie tylko dlatego, że tydzień temu weszło RODO. To już wcześniej było. Nie wolno się zapytać pacjenta o nazwisko, jak się pobiera krew na takie badanie. No to przepraszam. Chore. Proszę pana, myśmy mieli codziennie spraw-

dzane listy krwiodawców, codziennie. Tych co się dzisiaj zgłosili do stacji krwiodawstwa czy do szpitala z oddaniem krwi. Wszyscy byli sprawdzani codziennie. To mało, że się przez telefon podawało tę informację, to jeszcze się na piśmie ją posyłało potem. Żeby było, jak należy. Jak w zegarku to chodziło, naprawdę. Szefowa była doskonała po prostu. Ale ten główny dyrektor właśnie to już spoczywa, nie wiem, czy z Panem Bogiem, bo to co on zrobił na koniec to już... Ale w każdym razie dziwnym trafem to, co on zrobił jednemu z tych lekarzy, dyrektorów tego ZOZ-u, żeby dostać się na jego stanowisko, to to samo go spotkało na jego koniec kariery, identyko. Ktoś go tak samo wygryzł. Teraz już jest wyścig szczurów, w związku z powyższym można powiedzieć, że Pan Bóg nierychliwy, ale Pan Bóg z tym nie ma nic wspólnego. To się samemu robi to, co się chce. W którym roku pani zakończyła pracę zawodową? W pięćdziesiątym trzecim. Czterdzieści dwa lata miałam pracy zawodowej. Pracowałam trochę na wcześniejszych też, żeby zaraz po szkole, bo taka lekarka, która prowadziła ten oddział, bardzo chciała mnie tam zatrzymać, ale ja nie byłam w stanie pracować w takiej temperaturze. Bo to trzeba było mieć na sobie sukienkę ze specjalnej jakiejś tkaniny, która była ciepła. To był pięćdziesiąty pierwszy rok, no przecież jakie to tkaniny były wtedy u nas. Po niektórych tam sklepach jeszcze przedwojennych pochowane były wełny bielskie. To, to było, bo to jeszcze można było kupić na garnitur spod lady gdzieś albo na płaszcz. A reszta to była taka, jak była. I tam właśnie mało tego, fartuch, maska i trzydzieści sześć stopni ciepła. Bo jak się otwiera inkubator, no to jak się dopuszcza powietrze, to musi być takie samo jak w inkubatorze. No, a poza tym te maleństwa... Chryste Boże... Dwa miesiące tam wytrzymałam. Jeszcze mi później oferowano pracę w domu dziecka na Nowogrodzkiej, Baudouina, księdza Baudouina. Bardzo dobre warunki, dodatek, jeden dzień w tygodniu wolny, no to już w ogóle! Wtedy! Lepsza pensja i wolny dzień. Krótszy dzień pracy, siedem godzin, nie osiem. No i ja już prawie się zgodziłam, jak pani przełożona, która złapała mnie jak Pana Boga za nogi, powiada, a teraz pokażę pani salki z dziećmi. To nie były sale, bo to jest ten Szpital Dzieciątka Jezus, to są te dawniejsze koszary sowieckie, rosyjskie wtedy, sprzed 200 lat i one tam później adaptowane były na szpital, Dzieciątka Jezus zresztą. Tak samo tu, bo to jest taki szpital na Starynkiewicza ten ginekologiczno-położniczy. I po jednej stronie jest właśnie tutaj od Nowogrodzkiej ten Dom. Był przynajmniej, bo teraz nie jeżdżę nigdzie, to nie wiem, jak wygląda. Te sale są olbrzymie, okno zaczyna się od wysokości mojej szafy. Wszystkie u Dzieciątka Jezus stare domy takie miały. Wszystkie takie okna miały. I na Starynkiewicza też są takie. I dopiero gdzieś pod sufitem przy czterech metrach czy więcej nawet to się kończy to okno. Ja weszłam do tej sali ogromnej, a ona powiedziała salki. Ogromna sala i co się dzieje? Łóżko przy łóżku te dzieciaki to są takie, pokazała mi najpierw te jakieś niemowlaki takie półtoraroczne, takie jakieś... A one wszystkie jak słoneczniki do słońca do tych drzwi. I ręce wyciągnięte. Matko Boska! Ja szybciej stamtąd wychodziłam, jak przyszłam, wie pan? Bo te wszystkie dzieci trzeba było zabrać. Nie dało by się ich opuszczać. Ja zresztą miałam też trudności na praktykach dziecięcych. Duże miałam trudności z panią profesor. To były czasy, kiedy nie wolno było, jak to się mówi, dzieci rozpieszczać. Już wchodziliśmy w ten zimny wychów. W domach i w szpitalach. Co wywołało szkody niepowetowane i nie do zasypania podziały. I tu jest sytuacja taka, że ja jestem oddelegowana na chirurgiczny oddział oparzeniowców, a oparzeniowce to są małe dzieci, rok i dwa miesiące, półtora roku, o takie. Bo to w balię wpadło z gorącą bielizną, przecież się wtedy prało w tych kottach. Gotowało na kuchniach, potem się to zdejmowało. A to czymś się oparzyło, ja sama się w dzieciństwie oparzyłam, bo ja nie sięgałam stołu, mając niecałe trzy lata i chciałam zobaczyć tę herbatę, która mój ojciec nalewał sobie z samowara, tradycyjnie. Czajniczek był na górze. To było wszystko wrzące. I to była druga połowa września, ja już byłam grubo ubrana, bo zimno było. I tak głowa zadarta, bo nie sięga tego blatu i obrusem na siebie ściągłam tę szklankę nalaną tego wrzątku. Tak pół twarzy oparzone. Całe ramię, ręka w bliznach. O tak. Po prostu co teraz

robić? Moja mama rodzi siostrę w szpitalu. W Inowrocławiu, a ojciec jest w tych Więclawicach. I jest taka wiejska niania. Ponieważ ona się nauczyła, że jak się pierze w sodzie, to każde skaleczenie..., bo soda jest właśnie bardzo dobra do okładów, do wszystkich takich skaleczeń. I jak się pierze w sodzie, to się wszystkie skaleczenia goją. To pomyślała, zdjęła ze mnie to ubranie i nasypała na mnie sodę. Żeby to okład był chociaż mokry. Nasypała mi na to sodę, na oparzenia trzeciego i czwartego stopnia. To trudno sobie opowiedzieć, bo ja to pamiętam do dzisiaj, proszę pana. Człowiek oparzy opuszek palca i boli go, i boli. A co dopiero tutaj w takiej sytuacji. Nim ojciec posłał po lekarza, siedem kilometrów Więclawice leżały od Inowrocławia, nim ten lekarz przyjechał drugie siedem kilometrów, bryczką, prawda? To ja już tutaj, to już było nie do ratunku. A jeszcze ona położyła na to watę. Jak ten nasz ukochany doktor, bo myśmy mieli takich doktorów, którzy przyjeżdżali albo się do nich jechało, to byli ludzie przyjaciele dziecka, przyjaciele rodziców. Nikt się nie bał lekarza wtedy, z dzieci. Jak on to obejrzał, jak on to zdejmował, to ja to do dziś pamiętam. Nie da się zapomnieć czegoś takiego, takiego bólu. No i potem leczenie. A w międzyczasie mama urodziła siostrę, a siostra miała naczyniak na twarzy. I co by nie powiedzieć, wierzyć, nie wierzyć jeden z lekarzy ginekologów powiedział mojej mamie, że: „Jestem tak dobrym lekarzem i tak pełnym wiedzy, że mogę uwierzyć w to, co pani mówi”. A co się stało? Otóż moja mama w pierwszym trymestrze zasnęła. I nagle została obudzona: „Gdzie jest pan?”, to znaczy mój ojciec. Przez jakiegoś fernala. Gdzie jest pan natychmiast, bo od pociągu zapalił się łan pszenicy. Tej pszenicy. Wie pan, co to była za pszenica? Kujawianka wysoka. I te kobiety wiejskie i moja mama też i to się wszystko złapało za twarze, za głowy. Ciekawostka była taka, że te kobiety, które były w ciąży, a urodziły w izbie porodowej, to im położna wiejska wycierała te dzieci przez kilka dni łożyskiem. Nikt wtedy nie wiedział, co to jest słowo: placenta. A mojej mamie nie pokazano dziecka, w ogóle. Przez trzy dni, bo się bali szoku, że zobaczy granatowy policzek, sino-czerwony. Przyjeżdża do domu i zastaje drugą z takim czymś. No po prostu ręce opadają. Dwie córki i takie oznaczone. Bardzo chciałam mieć operację. Obiecywano mi ją. Obiecywano i ja na nią czekałam. Jak sobie można wyobrazić trzyletnie dziecko, które czeka na operację, proszę pana. Może pan sobie wyobrazić? I które mówi o tym, bo ja to znam z przekazów. W końcu doczekałam pięciu lat. Powiatowy lekarz, który... oni byli zawsze w pogardzie przez tych warszawskich, krakowskich, wie pan. Powiatowi lekarze, cóż oni umieją? Nic. No i ten powiatowy lekarz, chirurg zrobił mi operację. Ja miałam tutaj... i ciąg dalszy... usunął mi z twarzy, nie miałam na twarzy. Nie mógł mi za dużo usunąć, bo małemu dziecku głowa by się przechyliła, wie pan, jak by za dużo mi skóry ściągnął. Za dużo by zebrał. Ale jestem mu wdzięczna bez granic. Po wojnie został w Londynie chirurgiem plastycznym. Powiatowy lekarz. Tak że takie o rzeczy... A jeszcze jedno miałam tam zdarzenie, że salowa powiedziała, że niesie mnie do tatusia, bo tatuś leżał wtedy, miał atak woreczka i był w szpitalu. Niesie mnie do tatusia, a ona mnie zaniósła na salę operacyjną. I ja do niej się obróciłam i mówię... pięcioletnia, sama to pamiętam dobrze i ja mówię do niej: „Jak pani mogła mnie tak oszukać? Ja bardzo chcę mieć operację, ja się nie boję operacji. Ale jak do tatusia, to do tatusia, a nie na operację”. Ona się nie mogła do mnie zbliżyć potem. Bo tupałam w łóżeczku i wrzeszczałam, że proszę do mnie nie przychodzić. Ona nie mogła mnie nakarmić, ona nic nie mogła koło mnie zrobić. Nigdy nie skłamałam dziecku.